

Z punktu widzenia posiadacza lewego zaświadczenia

19 kwietnia 2021

Posiadam lewe zaświadczenie, tzn. papier poświadczający nieprawdę, podbity urzędową pieczęcią. Mowa w nim o tym, że noszenie przeze mnie maski na świeżym powietrzu, jest dla mnie niewskazane ze względów medycznych. Nie korzystam zeń, nie dlatego, że źle bym się z tym czuł, że okłamuję Polskę i Polaków. Nie sięgam po kwit dlatego, że nie chce mi się tracić czasu na udry z milicją, bo finalnie i tak musiałbym się prawować w sądzie.

Noszę skan oświadczenia poświadczającego nieprawdę w telefonie. Ani razu jeszcze nie byłem zmuszony go użyć, ale oczywiście, jeśli zajdzie taka konieczność, zapewne z tego skorzystam. Postawiony pod ścianą przez stróżów prawa, którzy zajmują się dziś w Polsce głównie sprawdzaniem maseczek na twarzach, nie poddam się bez walki. Zakładam więc maskę byle jak; na brodę, pod brodę, przy brodzie, pod nosem. Zasłaniam usta jedynie w sklepach, żeby nie gorszyć legalistów i zostać obsłużonym przy kasie. Na powietrzu, pomny tego, co twierdził rok temu prof. Szumowski, nie widzę specjalnego sensu noszenia maski, bo morowe powietrze jeszcze nie opanowało atmosfery. Zwłaszcza latem, kiedy smog u nas ściska słabiej za gardziel. Nie wyobrażam też sobie uprawiania sportu w masce, czy to w środku, czy na zewnątrz; biegania, jazdy na rowerze, czy zwykłego spaceru z kijami po lesie. Niemniej, fakt, że ja sobie czegoś nie wyobrażam, nie oznacza, że moi współziomkowie w polskiej niedoli, nie posiadają dużo większej wyobraźni, bo obserwuję z trwogą co dzień, że dużej części z nich maska przyrosła już do twarzy na dobre. W lesie, gdzie mogą zarazić wiewiórkę albo żuka. W parku, gdzie zakażeniu ulegnie piesek sąsiadów. Na placach zabaw, pośród dziatwy maleńkiej, która zakaża się w zasadzie zerowo. Nawet w prywatnych autach, w drodze do pracy. Wszędzie tam, Polak ubiera karnie maskę.

Bojaźń boża i prawna jest u nas doprawdy wielka. Dużo większa niż zdrowy rozsądek. Śmiem twierdzić, że będzie jeszcze większa, bo ze świata docierają alarmistyczne wieści, że maska masce nierówna i „odpowiedzialne” społeczeństwo musi zrobić kolejny krok do przodu. A może do tyłu?

Naukowcy amerykańscy odkryli, że brytyjski wariant covidu, który zbiera i u nas śmiertelne żniwo, jest w zasadzie maseczkoodporny. Przenosi się już po dwóch minutach od kontaktu, a nie jak ten stary, dobry covid, po kwadransie. Może skakać na ofiary z odległości większej niż półtora metra, także zasady dystansu w jego wypadku też przestają być aktualne. Okazuje się również, że żadne maseczki chirurgiczne albo wielorazowego użytku, czyli popularne szmacianki, chronią przed przenoszeniem brytyjskiego covidu w stopniu żadnym. Jedyną potencjalną ochroną ust i nosa, taką na 30 procent, pozostaje maska typu FFP2; czubata, z filtrem, droższa od taniochy z marketów. Wystarcza ona na kilkanaście godzin. Można ją oczywiście sterylizować. Np. promieniami UV. Wiadomo wszak, że każdy w domu trzyma specjalny sterylizator, więc nie powinno to być dla obywatela nazbyt kłopotliwe. Zapytano również polskich naukowców, czy uważają podobnie jak ich koledzy z Ameryki. Naturalnie, żaden nie śmiał zaprzeczyć. Tylko maski z filtrem mogą coś tu pomóc, a oni, polscy naukowcy, będą rekomendować Horbanowi, a ten rządowi, żeby w najbliższym czasie nakazać Polakom zasłanianie buzi wyłącznie maskami typu FFP2. Zaraza jest bowiem tak mocna, że trzeba sięgać po coraz mocniejsze środki zapobiegawcze. I na tym koniec. Jakby to, co ustalono, miało tylko jedną, właściwą i dogmatyczną interpretację. Spróbujcie jednak, dobrzy ludzie, spojrzeć na sprawę z punktu widzenia nocnego stróża.

Wirus mutuje. Jak każdy wirus. Ten covidowy mutuje w najmniej pożądanym kierunku. Staje się coraz bardziej zaraźliwy i mocniej uderza w organizm żywiciela. Nie jest wykluczone, a wręcz bardzo prawdopodobne, że w następnych miesiącach i latach, zmutuje jeszcze bardziej. Może oczywiście wrócić do

wersji light, ale wcale nie musi. Skoro wiemy dziś, że maseczki nie chronią praktycznie wcale przed jego najnowszymi formami, a jedynie specjalne maski dają ochronę w stopniu niewielkim, czy nie bardziej zasadnym byłoby postawić pytanie o sens ich używania w ogóle, niżli zalecać noszenie czegoś, co jest jedynie erzacem bezpieczeństwa. Jeśli bowiem na początku pandemii nie trzeba było nosić masek, później noszono je na przemian z plastikowymi przyłbicami, zasłanianio się czym kto miał, a dopiero od niedawna wprowadzono obowiązek totalny, strach pomyśleć, czym władze każą się zasłaniać, kiedy dojdą do wniosku, że maski FFP2 również nie zdają egzaminu, bo nowa mutacja wyskakuje i spod nich. Kolejnym krokiem, jakiego należałoby się spodziewać, będzie zapewne nakaz chodzenia w maskach p-gaz. Najlepiej takich typu „słoń”, z filtrem przytroczonym do twarzy za pomocą „trąby”. A kiedy i to nie pomoże, proponuję dla władzy i co bardziej bojaźliwych organizmów, rozszerzone, zbiorowe samobójstwo, za pomocą wstrzymania oddechu na co najmniej 24 godziny. Jedynie to naprostuje ludzkość i wrócimy na właściwe tory. Powiedzie nas tam za rękę Episkopat, wydając okólnik dla wikarych i proboszczów, żeby nie dawać rozgrzeszenia tym wszystkim, którzy zaszczepili się Astrą albo Johnsonem.

Autorstwo: Jarek Ważny

Źródło: Trybuna.info